

Aleksy Wakar – nauczyciel¹

Niektórzy uczniowie Profesora Wakara lubili mówić, że szkoła wakarowska jest swego rodzaju kontynuacją szkoły lozańskiej Walrasa i Pareto.

Mieliśmy na to trzy argumenty. Pierwszy, że główny i uznany na świecie polski lozańczyk, Władysław Zawadzki, był w czasach przedwojennych mistrzem naszego szefa, czyli Profesora Wakara. Więc my automatycznie skłonni byliśmy uznawać siebie za kolejne pokolenie tego kierunku ekonomii².

Drugi argument to liczne publikacje teoretyczne Zawadzkiego i Wakara, które niewątpliwie kontynuowały i rozwijały koncepcje mistrzów z Lozanny.

Za trzeci argument uważam teorię rachunku pośredniego i bezpośredniego, która była jednym z nielicznych w czasach PRL naukowych, a nie propagandowo-ideologicznych, przykładów analizy tzw. gospodarki socjalistycznej właśnie metodami pochodzącymi z teorii równowagi ogólnej.

Wielu z nas, uczniów Aleksego Wakara, wspomina Go jednak przede wszystkim jako szefa, nauczyciela, przewodnika, bez którego nic by z nas nie było. Miał do tego wybitny talent i zaangażowanie. Popatrzmy na przykładach jak to robił.

Profesor bardziej lubił słuchać jak czytaliśmy mu krótkie fragmenty swoich prac niż czytać je samemu. Siadało się w fotelach w dawnym, małym i przytulnym klubie profesorskim i czytało półgłosem swoje dzieło. Profesor był cierpliwy i nie przerywał zbyt szybko. Najczęściej sam zauważałem wcześniej, że bredzę i zaczynałem gorączkowo ad hoc poprawiać tekst lub usprawiedliwiać jego niejasności. Wtedy wchodził Profesor i albo zadawał nokautujący cios, albo – co było pochwałą – podejmował szczegółową dyskusję i krytykę. Natomiast cios miał dwa najczęstsze warianty. Pierwszy: „Gdyby Pan spróbował jeszcze raz, krótko powtórzyć swoją myśl”. Rzadko było to wykonalne. Drugi wariant polegał na propozycji, aby sprawę jeszcze raz przemyśleć i zjawić się z nową wersją tekstu najlepiej za tydzień. Pamiętam, że sformułowanie mojej tezy doktorskiej, wyrażone na kilkunastu stronach, było trzykrotnie odrzucane. Podczas kolejnego posiedzenia Profesor stwierdził, że można z tego zrobić artykuł do Zeszytów Naukowych SGPiS i dalej rozwijać w pracę doktorską.

* Autor jest pracownikiem Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Artykuł wpłynął do redakcji w grudniu 2005 r.

¹ Jest to nieco zmodyfikowana i rozszerzona wersja tekstu „Wspomnienie o profesorze Aleksym Wakarze” opublikowanego w Rocznikach Kolegium Analiz Ekonomicznych, zeszyt 4/ 1997.

² Pamiętam konsternację, jaka nastąpiła wśród uczestników mojego wystąpienia w innym wybitnym ekonomicznym ośrodku akademickim, kiedy po napastliwym wystąpieniu jednego z dyskutantów przeciwko „burżuazyjnej teorii szkoły lozańskiej”, przyznałem się, że uważam się za jej polskiego „prawnuka”. A działało się to oczywiście w PRL.

Trzeba tu dodać, że Profesor był w nieustannej gotowości do wysłuchiwania naszych utworów. Termin tygodniowy był maksymalny, jeśli chciało się utrzymać w rytmie współpracy. Zasadą Profesora było bowiem, że podejmując temat należy myśleć o nim w sposób możliwie ciągły. Jeśli ktoś stworzył tekst przed upływem tygodnia, to mógł zadzwonić do domu Profesora, który bez oporu wyznaczał spotkanie w najbliższych dniach. Do dzisiaj – w świetle moich doświadczeń – budzi mój podziw ta pełna poświęcenia zdolność do nieustannego obcowania z najczęściej złymi tekstami uczniów.

Cechą naszego zespołu, która najbardziej zdumiewała ludzi postronnych, było wspólne pisanie książek i artykułów i publikowanie ich bez sygnowania poszczególnych części. Było to oczywiście robione na zasadzie całkowitej dobrowolności. W toku pracy staraliśmy się dojść do tego, żeby wszystkie stwierdzenia zawarte w książce były uznawane za prawdziwe przez wszystkich autorów. W praktyce okazywało się to łatwiejsze niż można przypuszczać. Oprócz różnych technik stosowanych przez Profesora i z przekonaniem uprawianych oraz udoskonalanych przez nas samych, sprzyjała temu jedna ważna okoliczność. Skład wiekowy zespołu. Był to jeden stary profesor (po sześćdziesiątce), którego autorytet był dla nas wówczas niepodważalny i nieskończony oraz kilku młodych (koło trzydziestki) uczniów. Byli oni ponadto jakby młodszy naukowo – wyzwalali się właśnie z oparów sowieckiej ekonomii politycznej i uczyli współczesnej ekonomii zachodniej. Był to więc jakby powrót do czasów studenckich. Dziecinnieliśmy, co miało tę dobrą stronę, że łatwiej nam było być otwartymi i plastycznymi. Łatwiej więc przyjmowaliśmy nowe pomysły, techniki i stwierdzenia.

Gdy przygotowywaliśmy wspólnie pisaną książkę, obok głośnego czytania tekstów, stosowano też rozdawanie krótkich fragmentów i omawianie ich w małych zespołach. Najczęściej trzyosobowych: Profesor, autor i ktoś trzeci z zespołu autorskiego całości. Nieraz ten trzeci był autorem wcześniejszej wersji tegoż tekstu. Stosowaliśmy bowiem często przekazywanie sobie swoich tekstów do dalszej obróbki. Warto zauważyć, że w ten sposób indywidualne autorstwo w ogóle zniknęło. Cała ta procedura została wyszlifowana w trakcie pisania naszej podstawowej pracy „Wstęp do teorii gospodarki socjalistycznej”. Po śmierci profesora w ten sam sposób doprowadziłem do końca książkę o pieniądzu.

W pracy trzyosobowego zespołu była pewna, szczególnie ważna i, jak sądzę, wartościowa cecha. Gdy jeden z uczestników atakował autora, drugi, przysłuchując się, miał czas do namysłu na wprowadzenie nowych argumentów. Było to szczególnie cenne, gdy dwaj poprzedni zacierzowali się i nie mogli wybrnąć z kontrowersji. Ten sposób dyskusji bywał bardzo uciążliwy dla autora, w przypadku gdy obaj krytycy podawali go sobie kolejno z rąk do rąk atakując z różnych stron. Bywało jednak także inaczej. Gdy kolega krytyk wpadał w nadmierny zapał i zaczynał przesadnie pastwić się nad autorem, Profesor nieraz zmieniał swoją rolę i wspierał tego ostatniego, tłumacząc krytykowi co autor chciał powiedzieć. Inna rzecz, że takie tłumaczenie nieraz nieźle mogło zająć autorowi za skórę, gdy porównywał swoje zamiary z odbiorem takiego czytelnika jak Profesor.

W tych dyskusjach nieraz zdarzało się, że krytyk pastwił się nad pomysłami, które sam wcześniej wprowadził do tekstu. Argument: „Sam to przecież wcześniej napisałeś!”, nie był jednak uznawany za merytoryczny.

Wspólne pisanie, to w sposób nieunikniony także sprawa plagiatu. Powstaje, na przykład, pytanie co i jak można następnie publikować pod własnym nazwiskiem. Kiedyś jeden z kolegów doktorantów wpisał – dosłownie, ale bez cudzośłowu – do swojego artykułu kilka niewątpliwie moich stron z wcześniejszej wspólnej pracy. Trzeba przyznać, że opatrzył to przypisem informującym, że referuje moje myśli. Rozżalony poszedłem na skargę do Profesora. „Proszę Pana”, powiedział: „naprawdę nie warto robić z tego historii. Czy Pan mu żałuje tego fragmentu? Widocznie miał trudności ze sformułowaniem tego samodzielnie”.

Pamiętam inne zdarzenie, nie związane z naszym zespołem. Profesor był powołany przez dziekana do rozpoznania zgłoszonego zarzutu plagiatu dokonanego przez jednego z profesorów z publikacji drugiego. Po porównaniu tekstów Profesor powiedział mi w rozmowie prywatnej: „Rzeczywiście, część jest przepisana. Ale jest tak mało ciekawa, że naprawdę nie warto było tego robić”.

Kiedyś Profesor podał nam swój bardziej ogólny pogląd: „Proszę panów (bo zespół był wówczas czysto męski), nie ma własności prywatnej na myśli. We wszystkim, co publikujemy, zdecydowanie przeważają myśli zaczerpnięte od innych autorów. W tym sensie każda praca naukowa jest eklektyczna”. I, mógłbym dodać, każda w jakimś stopniu jest plagiatem, szczególnie gdy jej autor ma dobrą pamięć.

To prowadzi nas do delikatnej sprawy dopisywania się szefów do publikacji podwładnych. Wielokrotnie słyszałem zarzut zgłaszany przez kolegów z innych katedr i instytutów.

U nas było całkiem inaczej. Pracowaliśmy, na przykład, nad dużą wspólną książką. Profesor namawiał do wcześniejszego publikowania artykułów z przygotowywanych fragmentów. Słuszność takiego postępowania jest oczywista. Pokazałem taki artykuł w małym zespole, który go zaaprobował z niewielkimi poprawkami. Uznaliśmy, że należy opatrzyć go odnośnikiem informującym, że tekst powstał w ramach pracy zespołowej katedry Profesora Wakara.

To w większości przypadków wydawało nam się wystarczające. Były jednak przypadki szczególne. Napisałem kiedyś tekst, w którym pomysł i główna teza były Profesora, który ich jednak nie zapisał, lecz podyktował mi. Następnie ja to rozpisałem, dodałem różne uzupełnienia wzięte z życia i z literatury. Tekst był czytany (lub słuchany) przez Profesora oraz uzupełniany i poprawiany przez Niego. Po dyskusji z kolegami doszliśmy do wniosku, że artykuł powinien być podpisany przeze mnie i przez Profesora (kolejność alfabetyczna). Zwróciliśmy się do Niego, argumentując nie tylko stanem faktycznym, ale także korzyściami dla młodego autora wchodzącego dopiero na rynek. Profesor się uśmiechnął i powiedział: „Jeśli Panom to jest potrzebne, to proszę bardzo”.

Jak już wspomniałem, Profesor miał zwyczaj podrzucać nam swoje pomysły, a nawet opublikowane teksty z sugestią, abyśmy dalej się nimi zajmowali. W czasie gdy Go znałem, sam publikował niewiele. Pisał „przez nas”.

Na przykład, Profesor uważał, że główną cechą wyróżniającą rzeczowe nakłady inwestycyjne jest ich wysoka niepodzielność. Zasugerował mi to jako trzon odpowiedniego rozdziału w naszej pracy zespołowej. W drugim kroku, na tej podstawie zrobiłem pracę habilitacyjną. Pamiętam, jak razem z Profesorem próbowaliśmy, bez powodzenia zresztą, opisać proces gospodarczy, w którym w ogóle nie byłoby niepodzielności.

Drugi przykład dotyczy tematu mojej pracy doktorskiej. Przyszedłem do katedry Profesora zaawansowany w problemach ekonomiki rolnej, szczególnie wielkich gospodarstw. Miałem też sporo oryginalnego materiału z tzw. spółdzielni produkcyjnych (zresztą nie ja go zbierałem). W tych czasach (lata 1956 i 1957) temat był beznadziejny. W Polsce większość tych gospodarstw właśnie się rozpadła. Jednakże Profesor nie starał się mnie zniechęcić do tematu. Podsunął mi natomiast książkę Drewnowskiego „Próba teorii gospodarki planowej”. Dzieło zachodnie (to znaczy niesowieckie), bardzo eleganckie (i krótkie) mówiące o rachunku ekonomicznym. Zafascynowało mnie to i w ten sposób powstała teza mojej pracy doktorskiej łącząca oba wątki.

I trzeci. Profesor napisał krótki artykuł o inflacji w gospodarce socjalistycznej. Następnie ja zrobiłem większy i szerszy tematycznie tekst na ten temat. A potem z Urszulą Liburą (Grzełońską) napisaliśmy książkę, której zresztą nie chcieli nam wydać pod tytułem „Inflacja w gospodarce socjalistycznej”. Wyšla jako „Równowaga w gospodarce socjalistycznej”. Ale cały nowy, odkrywczy pomysł był całkowicie opracowany we wspomnianym artykule Profesora.

Trzeba więc chyba uznać, że było to coś w rodzaju żerowania na... Do czego byliśmy zresztą życzliwie nakłanianiani.

Inny przykład działania „przez nas”. Zorganizowano w Szkole konferencję na temat pieniądza. Wśród wielu dostojnych profesorów zaproszony do wygłoszenia referatu był Wakar.

Zwrócił się On wówczas do mnie, abym Go w tym zastąpił, gdyż ja obecnie zajmuję się tym tematem w naszym zespole. Skonsternowani organizatorzy konferencji nie potrafili Go odwieść od tego zamiaru i byłem jedynym młodym doktorem, który wystąpił z referatem obok trzech profesorów. Sam zaś Profesor Wakar i kilku kolegów z naszego zespołu bardzo aktywnie wspierali mnie w dyskusji.

Chyba głównym sposobem kształcenia nas było wspólne studiowanie książek. W metodzie Profesora trzy rzeczy wydają mi się ważne.

Po pierwsze, nacisk był położony na solidne, od deski do deski, przestudiowanie nielicznych, starannie wybranych książek. Szeroka i powierzchowna erudycja nie była premiowana. Żonglowanie nazwiskami i tytułami pomijano najczęściej milczeniem. Sam Profesor miał wiele zeszytów, w których zapisywał swoje lektury. Były to częściowo streszczenia, częściowo przepisane fragmenty, częściowo komentarze. Przeważały pierwsze i drugie. Czytając zapiski Profesora można już było darować sobie oryginał.

Stosując tę metodę zauważyłem, że po przepisaniu fragmentu (własną ręką, nie na komputerze, lecz piórem na papierze) ma go, niemal na zawsze, przyswojony w umyśle. Chciałoby się powiedzieć „wdrukowany”.

W ten sposób zespół przerobił podstawowe prace, na przykład „Niedoskonałą konkurencję” pani Robinsonowej (tak o niej mówiła przedwojenna generacja ekonomistów), „Wartość i kapitał” Hicksa, „Ogólną teorię”.

Po drugie, odbywało się to w ten sposób, że każdy z nas po kolei referował rozdział książki, to znaczy robił jakby wykład, mówiąc przede wszystkim, co autor napisał a nie, co referent o tym sądzi. Własne komentarze, pytania, wątpliwości i krytyki były oczywiście pożądane, ale po rzetelnym zreferowaniu myśli autora. Inni uczestnicy seminarium przerywali referentowi pytając i komentując poszczególne fragmenty. I to najczęściej wystarczało. Tylko czasami po zreferowaniu wywiązywała się ogólna dyskusja. Częściej takie dyskusje były prowadzone dopiero po pewnym czasie i poza seminarium.

Seminarium trwało równo półtorej godziny. Uważaliśmy, że tyle człowiek zdolny jest wytrzymać w zespołowej koncentracji nad tematem. Oczywiście, każde zajęcia zaczynały się punktualnie co do minuty. Tak zostaliśmy wytreśnowani, że kiedy spotkanie było w mieszkaniu Profesora potrafiliśmy zejść się w kilku pod windą tuż przed umówioną godziną.

Po trzecie, jeśli na seminarium była dyskusja nad wcześniej przeczytanym lub zreferowanym tekstem, to Profesor po kolei udzielał głosu wszystkim uczestnikom (raz zaczynając od lewej a raz od prawej; oczywiście porządek siedzenia był dowolny, a więc też zmienny). Można było, oczywiście, zrezygnować z głosu.

Ten sposób, który śmieszył i denerwował licznych naszych gości, miał między innymi tę zaletę, że hamował gadulstwo i gwiazdorstwo.

Innym sposobem wychowywania asystentów było zlecenie im samodzielnej realizacji poszczególnych rozdziałów w ramach kursowego wykładu ekonomii. Do dzisiaj pamiętam, że wiele tygodni przygotowywałem się do tematu „Funkcja produkcji”. Do dzisiaj też powtarzają się w moim wykładzie pewne staromodne „kawałki” z tamtego okresu. Jestem pewien, że śmieszy to nieco moich nowoczesnych asystentów i studentów.

Godne podkreślenia jest to, że takie występy uczniów nie zawsze były hospitowane. Nie chodziło więc tylko i po prostu o kontrolowanie ich przez Szefa.

Profesor był w swoim czasie przedstawicielem zmatematyzowanego kierunku w ekonomii polskiej. Domagał się też od nas, abyśmy dążyli do matematycznej ścisłości w formułowaniu i dowodzeniu naszych tez. Popierał do kształcanie się w matematyce. Wiem, że sam lubił rozwiązywać dla relaksu zadania matematyczne.

Równocześnie wymagał, aby wszędzie tam, gdzie to możliwe obok wzorów matematycznych było słowne uzasadnienie i wytłumaczenie tego, co chcieliśmy dowieść. Jedną z przyczyn takiego podejścia była zapewne świadomość naszego słabego matematycznego przygotowania. Było jednak także głębsze uzasadnienie dotyczące ekonomii jako nauki. Kiedyś Profesor wyraził to, mniej więcej tak: „W ekonomii nie potrafimy być całkiem ściśli. To, co mówimy, jest takie raczej impresjonistyczne”.

Po powrocie do SGPiS, w swojej nowo powołanej katedrze, Profesor nakierował cały zespół asystentów i doktorantów na badanie istniejącej gospodarki

centralnie kierowanej. Chodziło mu nie o reformowanie, ale o teoretyczne wytłumaczenie, co to jest ten tzw. socjalizm? Jak działa? Do czego prowadzi?

My, Jego uczniowie jako ludzie młodzi i skażeni marksizmem, mieliśmy oczywiście skłonności reformatorskie. Często porzucaliśmy bezstronne badania i zaczęliśmy fantazjować na temat ulepszonej gospodarki centralnie kierowanej. Profesor pokpiwał z tego, ale nie zabraniał, choć i nie popierał takiej działalności.

Teraz myślę, że jeśli człowiek rzetelnie zajął się analizą gospodarki typu sowieckiego, to musiała mu przejść ochota na jej ulepszenie. Jak ktoś kiedyś powiedział: „Ulepszona tyrania, to lepiej czy gorzej?”.

Badania nasze doprowadziły do stworzenia teoretycznego obrazu działania tej gospodarki i jej możliwości. Główną, według mnie, tezą tej teorii było stwierdzenie: gospodarka socjalistyczna nie jest zdolna do weryfikacji technicznych współczynników produkcji. W tym ezopowym języku znaczyło to: nie jest zdolna do efektywnej alokacji i wykorzystania swoich zasobów.

Pewien zaciekły ekonomista marksistowski, a potem dysydent wytknął nam publicznie szkalowanie socjalizmu. Powiedział, że „wysunęliśmy pod adresem socjalizmu najcięższy zarzut”. A więc zrozumiał o co nam chodziło.

Drugą, towarzyszącą tamtej, była teza, że system ten jest jednak zdolny do bilansowania gospodarki, a więc do osiągnięcia swoistej, „okrojonej” równowagi.

Przyszłość pokazała, że pierwsza teza była prawdziwa. Druga się nie sprawdziła.

ALEKSY WAKAR As a Teacher

Summary

The author presents the figure of Prof. Aleksy Wakar as an academic teacher and mentor of young researchers.